

KENNEDY HUDNER

# ZGIEŁK WOJNY



# Fałszywe déjà vu

nimfa bagienna



***O niesugerowaniu się blurbami słów parę, czyli Konrad „Khorne S” Fit dzieli się wrażeniami po lekturze książki Kennedy’ego Hundera „Zgiełk wojny”.***

Czy zdarzyło wam się czytać książkę z blurbem brzmiącym bardzo podobnie do notki dotyczącej innej powieści, którą niedawno czytaliście? Ja tak miałem z nową pozycją wydawnictwa Drageus. „Zgiełk wojny” Kennedy’ego Huntera, bo o tej powieści mowa, wzbudził u mnie takie déjà vu. Weźmy opis. Istnieją gwiazdne państwa – tu norma. Ludzie poruszają się za pomocą wormholi? Już lekko znajomo, prawda? Jedno państwo ma ich więcej od drugiego, dzięki czemu dyktuje warunki handlu. Znajome? Inne państwa wywołują z nim wojnę, zdradziecki atak udaje się i tylko pewna pani może uratować wszystko od klęski. Czy wy też macie skojarzenia z cyklem Honor Harrington? Gdy przeczytałem blurba tej książki, witki mi opadły. Czy nie szkoda wydawać czegoś, co jest albo kalką, albo zrzywką z innego autora? Oj, myślę, zjadę tę książkę jak się patrzy, a co. I gdy zacząłem ją czytać, okazało się, że opis powyżej nijak ma się do cyklu HH. Przede wszystkim – główna bohaterka. To nie HH, a zwykła kobieta. Przyszła do floty nie z powodu patriotyzmu, ale z barku innych perspektyw, bo jest to trzydziestoletnia kobieta, która skończyła studiować historię wojskowości. I niby co ma robić? Sprzedawać buty? Właśnie to robiła przedtem! Wstępuje więc do floty, by zostać historykiem, a nie superstrategiem ratującym świat od zagłady. Oprócz niej w książce występuje także kilka z życia wziętych postaci, prawdziwych, a nie wydumanych, jak czasem w porównywanym cyklu.

Zapomnijcie też o gigantycznych flotach kosmicznych. Najpotężniejsza z nich, Victoria, ma 9 (słownie: dziewięć!) związków taktycznych, które składają się z 20–30 okrętów wojennych. W „Zgiełku wojny” to nie liczebność i potęga floty są istotne, ale jakość dowódców. A tu mamy różnych, długich i podłużnych. Wróć! Kompetentnych, dobrych, i z nadania szlacheckiego/politycznego. Czyli jak w życiu.

Książkę czyta cię bardzo płynnie. Rozdziały są odpowiedniej długości i brak jest dłużyzn traktujących o szczegółach technicznych. Jeśli zdarzają się rozbudowane opisy, to są one istotne, a nie pełniące funkcję zapchajdziury. To dziś rzadkie i miłe, gdy ktoś uważa czytelnika równego sobie. Jest jeszcze jedna przyjemna rzecz: mamy w książce kolorową wkładkę z rysunkami okrętów. Nie jest ona do niczego potrzebna, ale robi klimat i może się podobać.

Jak zwykle w Drageusie strona techniczna stoi na wysokim poziomie. Po prostu – dobra robota. Cena też nie straszy, a za 40 złotych mamy kawałek porządnej space opery. Dla znużonych wielotomowymi cyklami będzie to gratka. Dla tych, którzy mają dość zbyt nowoczesnej technologii – również. Dla

innych? Też polecam, bo postacie i świat są tak zbudowane, że każdy znajdzie dla siebie coś sensownego. Dodatkowo mamy też w niej akcent polski... i to pozytywny. Czy brać i kupować (czytanie to oczywiste)? Owszem. Mimo początkowego déjà vu książka „przyjemnie rozczarowuje”. A drugi tom i historia Emily Tuttle już niedługo, więc niebawem możecie oczekiwać kolejnej recenzji. Zatem do usłyszenia z pokładu okrętu Victorii!

*Konrad „Khorne S” Fit*

Tytuł: „Zgiełk wojny” t. 1

Autor: Kennedy Hudner

Tłumacz: Małgorzata Koczańska

Wydawca: Drageus 2016

Stron: 527

Cena: 39,90 zł